Chińskie więzienia nie mają ścian – cz. 5

19 października 2008

WIĘZIENIA BEZ ŚCIAN – 3

Lekcje konwersacji dla średniozaawansowanych mimo moich wysiłków wiały nudą. Starałam się być wyrozumiałą, pamiętając o moich własnych oporach w dyskutowaniu po chińsku, ale czasem rozważałam użycie pistoletu na wodę – „mówisz albo mokniesz”. Pod koniec kursu nie wiedziałam o moich uczniach więcej, niż na początku. Na ostatnich zajęciach dyskutowaliśmy o snach i poprosiłam ich o opisanie przykładowego snu. Nie miałam na myśli ich własnych snów, to wydawało mi się zbyt prywatne, ale jak to bywa, zostałam zrozumiana inaczej i moi uczniowie, jeden po drugim, opisali prawdziwe sny.

Oscar: To właściwie jest sen mojego przyjaciela, nie mój. Śniło mu się, że popełnia samobójstwo. Mój przyjaciel ma dużo stresu w szkole, nie ma złych ocen, ale jego ojciec chce, żeby miał jeszcze lepsze. Mój przyjaciel często mówił mi, że chce się zabić, bo już nie może wytrzymać. Jeśli powie o tym swojemu ojcu, on może pomyśleć, iż jego syn jest słaby.

Mandy: Śniło mi się, iż spadam w dół ze schodów, albo z budynku. Często śni mi się, że spadam lub tonę i nie są to przyjemne sny. Myślę, że jest to spowodowane moją pracą. Jestem nauczycielką informatyki. To nieprawda, że to łatwy zawód. Jest dla mnie bardzo stresujący i nie lubię go. Chciałabym zmienić pracę, ale rodzice zawsze chcieli, żebym była nauczycielką. Jeśli zmienię pracę, zawiodę ich i będą nieszczęśliwi.

* * *

Nick Zhang był jednym z tych ludzi, z którymi pozornie łatwo było się zaprzyjaźnić, lecz potem często miewało się wrażenie,

że tak naprawdę jest on kimś zupełnie obcym.

– Wiesz, jak byłem na studiach, to miałem amerykańskiego lekarza. Na początku trudno mi było z nim rozmawiać, bo chociaż zdałem wysokiego stopnia egzamin z angielskiego, to nigdy nie miałem okazji rozmawiać w tym języku. Typowe chińskie lekcje – zakuć słówka, gramatykę, reszta nieważna. Ten lekarz wyleczył mnie z zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, a właściwie to mówienie po angielsku mnie z tego wyleczyło.

– Jak to?

– Leczyłem się wcześniej u chińskiego psychologa, ale jakoś mi nie pomógł. Kiedy rozmawiałem z tym Amerykaninem, musiałem korzystać z innej logiki, nie chińskiej tylko angielskiej, to zmieniło moje myślenie. Myślenie po chińsku mi nie pomagało.

– Nie rozumiem, wytłumacz mi to, czym się różni myślenie po chińsku od myślenia po angielsku?

Nick zaciągnął się papierosem, patrząc w jakiś punkt, gdzieś na suficie. Milczał przez chwilę, powoli wypuszczając dym.

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Ale tak było.

* * *

Qing wyglądała bardziej blado niż zwykle, gdy wpadła do pokoju nauczycielskiego, o ile można „wpaść” – słaniając się.

– You all right? – rzucił wesoło Tim, gdy Qing opadła bezwładnie na krzesło.

– Ech, nie mam dobrych wieści – westchnęła, uśmiechając się tak, jak to Chińczycy mają w zwyczaju, kiedy ich coś trapi – Jestem w ciąży.

– To wspaniale! – zapiała Jennifer – Czemu miałaby to być zła wiadomość?

Qing znów westchnęła, tym razem głębiej.

– Przecież mam już syna! Nie mogę urodzić drugiego dziecka. Nie chcę poddawać się aborcji, naprawdę nie chcę, ale jeśli urodzę kolejne dziecko, to mój mąż straci pracę, będziemy musieli zapłacić wysoką grzywnę i będziemy zrujnowani. Trudno jest utrzymać dwoje dzieci – wyrecytowała jednym tchem, jakby zastanawiała się nad tym od dawna, zanim jeszcze problem zaistniał.

Zastygliśmy w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć. Nasz zachodni, chrześcijański bądź co bądź punkt widzenia, nie miał w tym kraju żadnego zastosowania. Sytuacje takie jak ta, uświadamiały mi wiele razy, że niezależnie od tego, jak mało religijni się czujemy w Europie, nasza cywilizacja, nasze myślenie, są tak przesiąknięte filozofią chrześcijańską, iż pewne rzeczy zawsze wydawać nam się będą okrutne i nie do pomyślenia.

– Więc… co zrobisz?

– Nie wiem – uśmiechnęła się znowu. – Chciałabym mieć drugie dziecko, ale to takie trudne…

– A twój mąż?

– On jest teraz w Niemczech, nie wiem, co mu powiedzieć… – pokręciła głową, podniosła się powoli i wyszła z pokoju.

Jennifer patrzyła za nią, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– To jest straszny kraj. Jak oni mogą go nie nienawidzić?

* * *

Ivy spędzała u Marie prawie każdy weekend i jak to bywa, kiedy przegaduje się noce, obie stawały się sobie coraz bliższe. Im bliżej było do jesieni, tym Ivy stawała się bardziej melancholijna.

– Kiedy Marie wyjedzie, pewnie się już nigdy nie zobaczymy.

— No wiesz, może będziesz mogła ją odwiedzić. Na pewno pożyczyłaby ci na bilet. Dla kogoś, kto pracuje w Anglii, to nie jest taki duży wydatek.

Ivy przymknęła oczy i pokręciła głową, dając mi do zrozumienia, że to nie jest takie proste.

— Każdy Chińczyk, który chce wyjechać za granicę, musi wpłacić depozyt. W zeszłym roku to było sto tysięcy juanów. W wypadku, gdyby ta osoba nie wróciła z zagranicy, depozyt zabiera rząd.

— Jesteś pewna, że to aż sto tysięcy? — próbowałam sobie wyobrazić tę kwotę, przeliczając na różne waluty. Pięćdziesiąt tysięcy złotych? Osiem tysięcy funtów? Dla kogoś, kto zarabia 2000 juanów miesięcznie, zebranie takiej sumy jest niemal nieosiągalne.

— Bez depozytu nie można ubiegać się o wizę. — Ivy pokręciła głową. — Nigdy już jej nie zobaczę, nigdy.

* * *

— Powiem ci coś w sekrecie, tylko pamiętaj, to jest tajemnica. Nie mów o tym żadnemu Chińczykowi. — Lin zniżyła głos do szeptu. — Kiedy miałam jedenaście lat, co tydzień słuchałam tajwańskiej stacji radiowej. To było, kiedy mieszkałam na wyspie, dosyć dobrze odbieraliśmy tam tajwańskie audycje. Był w ich radiu konkurs na wypracowanie o rodzinnym mieście. Wysłałam swoje opowiadanie i wygrałam koszulkę. Nadeszła poczta i bardzo się cieszyłam. Dwa dni później do domu zapukała policja i zabrali mnie na przesłuchanie. Pytali mnie, o czym pisałam, dlaczego w ogóle słuchałam tego radia, powiedzieli, że jeśli to się powtórzy, zanotują to w moich dokumentach i nie przyjmie mnie żadna szkoła.

— I co zrobiłaś?

— A co miałam zrobić? Musiałam im oddać koszulkę. Widzisz, kiedyś bardzo lubiłam pisać, ale to była jedna z rzeczy, które

mnie pisania oduczyły.

– A te inne rzeczy?

– Nauczyciele.

* * *

Chłopak Yolandy, Yang, był jednym z niewielu Chińczyków, którzy nie wyjeżdżając z Chin, zdołali perfekcyjnie opanować angielski. Wydawać by się mogło, że przydatność znajomości angielskiego w Chinach ogranicza się tylko do kontaktów z obcokrajowcami. Okazuje się jednak, że nie.

– Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło! Poszedłem w Pekinie do hostelu, wiesz, szukałem w Pekinie pracy, a hostele są względnie tanie. No więc poszedłem do pierwszego lepszego i proszę o miejsce w pokoju zbiorowym. A recepcjonista na to, że Chińczykom pokoi nie wynajmują! To ja na to, przepraszam, w jakim kraju jesteśmy? W Chinach, tak? Nie rozumiem! A on na to, że obcokrajowcy zawsze skarżą się na Chińczyków i dlatego pokoju nie dostanę. Zacząłem krzyczeć po angielsku, iż wiele razy mieszkałem w hostelach, gdzie zawsze pomagałem obcokrajowcom i że takie traktowanie jest niesprawiedliwe i krzywdzące, bo nie mogą mnie wyprosić tylko dlatego, że jestem Chińczykiem. Słyszeli mnie wszyscy obcokrajowcy w recepcji i stwierdzili, iż mam rację, więc manager pozwolił mi zostać. Tydzień potem zaproponował mi pracę, ha ha! Kto by w to uwierzył!

* * *

– Bezpiecznie? Czujesz się tu bezpiecznie, tak? – Chris mieszkał ze swoją chińską narzeczoną, Jane, poświęcając każdą wolną chwilę pokonywaniu australijsko-chińskiej przepaści kulturowej, a jednocześnie próbując zrobić interes, który ustawiłby go na całe życie.

– To posłuchaj tego: jedziemy z Jane autostradą do Szanghaju,

na drodze jest wypadek. No to, naturalny odruch, zwalniam, żeby się zatrzymać i pomóc ludziom, a Jane na to: Zwariowałeś? Jedź, nie zatrzymuj się! To za duża odpowiedzialność! Ja na to: Co ty opowiadasz?? A Jane mówi: No tak, jeśli zawieziesz ludzi z wypadku do szpitala, musisz zapłacić za ich leczenie. Nieważne, czy spowodowałeś wypadek, czy nie, wioząc ich do szpitala, bierzesz za nich odpowiedzialność, więc musisz zapłacić.

– Ale gdzie tu logika?

– To są Chiny, tu logika działa nieco inaczej. Może dzieje się tak dlatego, że ludzie nie mają ubezpieczeń zdrowotnych.

– No to co ludzie robią, jak zobaczą wypadek?

– Nic.

* * *

Pewnego razu pytam Yanga: – Gdzie jest Chi? On na to: – Pojechał na egzekucję. No to, oczywiście, pytam: – Na jaką egzekucję? A Yang: – No, kupił bilet na egzekucję. Nie wiem czyją, to masowa egzekucja, na stadionie. Rozstrzeliwują skazańców. No, ja w tym momencie zaniemówiłam – masowa egzekucja na stadionie i można na nią kupić bilet??? – Tak, on na to. Za 10 juanów.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: Vanda Zakrzewska
Źródło: „Ulica Wszystkich Świętych”, nr 9 (105) 2008